NUMER 50. DNIA 10. GRUDNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DWÓR POLSKI.

Więcej dla sensacji i mody, aniżeli ze względów naukowo-etnograficznych urządzono w Warszawie, w salonie Krywulta, wystawę dworu polskiego. Przedsięwzięcie takie bowiem, aby mogło przynieść jaką korzyść trwalszą, wymaga przedewszystkiem dokładnych studjów i uwzględnienia w nich właściwości budownictwa polskiego w jego historycznym rozwoju, a dalej musiałaby być wystawa taka o ile możności dokładną, uwzględniającą wszystkie okolice Polski i lokalne odrębności architektoniczne.

To też prasa warszawska nie może się oprzeć rozczarowaniu, jakie ją ogarnęło zaraz po otwarciu wystawy, która miała na celu „przedstawienie wszystkiego, co tylko zdołano dokonać u nas w budownictwie o czysto polskim charakterze, — z wyjątkiem kościołów“.

Właśnie może kościoły polskie, ze względu na swą monumentalność i zachowanie się do naszych czasów w znacznej liczbie, opracowane dokładniej, a nawet wyczerpująco, nadawałyby się bardziej do poglądowej wystawy, aniżeli budownictwo świeckie, którem nie wielu się tylko badaczy naszej przeszłości zajmowało. A już „dwór polski“ przeważnie drewniany, ustawicznie pożarom i zniszczeniu ulegający, zachował się w tak niewielu tylko zabytkach w naturze, w jeszcze mniejszej liczbie zabytków ikonograficznych i stosunkowo najmniej bywał przedmiotem studjów historycznych, że długiego będzie jeszcze potrzeba czasu i licznych monografji, zanim będzie mógł się urobić pogląd na treść jego i istotę.

Zamiast tedy „dworu polskiego“ podaje wystawa w salonie Krywulta dość niekompletny zbiór ciekawszych zamków magnackich najróżniejszych, kosmopolitycznych stylów, pałaców, baszt dawnych zamków, sporą ilość fotografji szczegółowych, a zresztą malowidła olejne i akwarelowe różnych malarzów, osnute na tle dworu polskiego. Zwłaszcza o tym ostatnim dziale wystawy wyraża się prasa warszawska z wielkiem lekceważeniem, mówiąc że obrazy te są „słodkaworozmazane“, „chlastane niedbałą ręką“ i t. d.

Wilanów, pałac w Biały Radziwiłowskiej i inne, jak powiada słusznie jeden ze sprawozdawców wystawy p. Jan Kleczyński mogą w sposób dość ogólny świadczyć o dobrym smaku naszych potentatów krajowych, ale razem stanowią kolekcję zbyt szczupłą, aby dać wyobrażenie o skarbach architektury, nagromadzonych u nas przez wieki, a za obszerną, jeśli chodzi o właściwy dwór polski, o oryginalny styl polski.

Co się tyczy stylu wspomnianego, to nawet na podstawie tego, niewyczerpującego zupełnie rzeczy, materjału, nasunęło się sprawozdawcom warszawskim kilka, ogólnikowych zresztą, uwag. Między innemi ta, że style obce modyfikowane są u nas w niejednym z dworów, pałaców i zamków, w sposób, który może nasuwać wiele ciekawych spostrzeżeń. Np. zamiłowanie do kolumnad gankowych zamienia tam nieraz ową ozdobę pochodzenia greckiego, w coś zupełnie swojskiego, nieoczekiwanego, podwyższając np. kolumny i ganek do wysokości pierwszego piętra i wysuwając cały fronton naprzód po za właściwym korpusem pałacu.

Najciekawsze na całej wystawie są plany p. Naskowskiego, w których zużytkowano dla projektu dworu polskiego ogromne, charakterystyczne dachy, przypominające nieco skandynawskie, często spotykane w pałacach ozdoby, nieodłączną od dworku kolumnadę z gankiem itp.

TEODOR NARBUTT,

DZIEJOPIS LITWY.

W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ ZGONU.

Dnia 27 listopada ubiega lat 40 od śmierci dziejopisarza Litwy, Teodora Narbutta.

Cztery dziesiątki lat pokryły pyłem zapomnienia skromny pomnik jego na cmentarzu w Naczy, w powiecie lidzkim, tak, jak krytycyzm, bujnie w ostatnich czasach rozwinięty, obniżył w pewnej mierze wartość jego prac naukowych; pomimo to imię jego, jako pjoniera wiedzy dziejowej na Litwie, wiernie żyć powinno w pamięci potomnych.

Był to bowiem umysł wyższy o wiele nad poziom ówczesnych pojęć, umysł dążący do światła i prawdy w historji, szukający wątku rzeczywistości w legendowych opowiadaniach kronikarskich. On pierwszy jął się badań samodzielnych, szperał po archiwach, kopał w głębi ziemi, wszędzie zdobywając cenny materjał, gromadząc zasoby wiedzy historycznej, często może chaotycznie i bez wyboru, lecz zawsze ze świadomością raz obranej drogi.

To też jego „Dzieje narodu litewskiego“ pomimo, że nie stoją już może na wysokości wymagań dzisiejszych, przecie zawsze będą źródłem poważnem, zawierającem nieprzebrane bogactwa, z których już niejeden czerpał, a wielu z pewnością i w przyszłości korzystać będzie.

Jego zapał do badania, jego cześć dla pamiątek prastarej Litwy, udzieliły się następnym pokoleniom. Ukazała się cała plejada badaczy, z Tyszkiewiczami, Eustachym i Konstantym na czele, którzy popchnęli naukę na nowe tory, dając wyraz swej działalności utworzeniem w Wilnie komisji archeologicznej, oraz muzeum pamiątek.

Niestety, wszystko, co z takim trudem zdobył, z takiem umiłowaniem wypielęgnował, rozproszyło się. Ciosy, druzgoczące zapoczątkowane przez Narbutta dzieło, odbiły się bolesnem echem w jego sercu i nie oszczędziły go w ostatnich dniach jego żywota. Przed śmiercią ujrzał się rozbitkiem, osamotnionym wśród gruzów gniazda rodzinnego, widział swoje zbiory w rozproszeniu, wszystko idące na marne, lub staczające się w przepaść beznadziejną.

Nie mam zresztą zamiaru kreślić w tem miejscu życiorysu zasłużonego męża. Chcę tylko przez to krótkie wspomnienie oddać hołd prochom czcigodnym, oraz przypomnieć szerszemu gronu miłośników przeszłości Litwy, że był on sławą naszego narodu, filarem wiedzy dziejowej ówczesnej, był mężem, o którym śpiewał nasz niezapomniany lirnik wioskowy, że:

...z rylcem dziejów stojący na straży,
Starą i nową Litwę wspomnieniem kojarzy,
Co jak dawny ofiarnik prawnukom wspomina
Bogów i bohaterów ziemi Giedymina,
Jak stary *burtynikas**) podaje nam hasła:
„Jeszcze *auszra***) życzliwa nad Litwą nie zgasła“.

Wandalin Szukiewicz.

Nacza, w listopadzie 1904 r.

„Gazeta Polska.“

ROMAN ROSTWOROWSKI.

Z cyklu: ***Dusze***

P. I. Podgórskiej.

Posępne niebo szare i wpółsenne —
Po niem się chmury jednostajne wloką;
I próżno szuka me stęsknione oko
Słońca, co świeci za niemi promienne...

I dusza moja była, jako słońce,
Które się chowa gdzieś za chmur powłoką
Ledwie widoczne wysoko, wysoko,
W mgłach bladoszarych na niebie tonące.

A kiedy tuman duszę mą zakryje,
Czuję, że jestem tak bardzo bezsilny
I tak samotny, jako ptak mogilny,
Co wśród cmentarnych brzóz w tęsknicy żyje...

I miewam wówczas bolesne złudzenie,
Że dusza twórcza śpi, czy wolno kona,
Bo tym tumanem jest nieunikniona
Walka o życie, o byt, o istnienie.

---

*) Gęślarz.
**) Jutrzenka.

KNUT HAMSUN.

Odczyt na prowincji.

(Ciąg dalszy.)

Za nadejściem ranka zerwałem się nerwowo i jąłem się ubierać. Zimno mi było naturalnie, a przeklęta sofa była dla mnie za krótka i źle spałem. Zadzwoniłem. Nikt się nie zjawił. Widocznie było jeszcze bardzo wcześnie; z ulicy nie dochodził najlżejszy szmer, a gdym się dobrze rozpatrzył, nie było jeszcze zupełnie widno.

Przyjrzałem się pokojowi; były to wspaniałości, jakich nie widziałem dotąd. Ogarnęło mnie przykre przeczucie i znów zadzwoniłem. Stałem po kostki zanurzony w puchu dywanu i czekałem. Ograbią mnie z ostatnich szelągów, a może nawet i te nie wystarczą. I pospiesznie począłem przeliczać, ile właściwie mam pieniędzy; wtem posłyszałem kroki w sieni i urwałem.

Ale nikt nie wszedł. Kroki w kurytarzu okazały się przywidzeniem.

Znów poczynam liczyć. W jakiejże strasznej niepewności się znajdowałem! Gdzie się podziała owa służąca ze swoją natarczywą wczorajszą usłużnością? A może to próżniacze stworzenie leży jeszcze i śpi, chociaż to niemal dzień jasny?

Wreszcie weszła, nawpół ubrana, w zarzuconym na prędce szalu.

— Pan dzwonił?

— Proszę o rachunek — powiedziałem głosem, o ile mogłem, najspokojniejszym.

— Rachunek? Trudno będzie; pani jeszcze śpi, jest dopiero trzecia.

Dziewczyna miała minę wystraszoną, patrzyła na mnie z osłupieniem.

Cóż to za sposób gapić się tak na kogo? Co ją obchodzi, że ja chcę tak wcześnie opuścić hotel?

— Nic nie pomoże — odezwałem się — muszę mieć teraz zaraz rachunek.

Służąca wyszła.

Długo nie wracała, a tymczasem niepokój mój powiększała obawa, aby stancji nie zechciano liczyć na czas, na godziny; abym nie stał tu, wyrzucając bezpotrzebnie pieniądze na czekanie bez mojej winy. Nie znałem zwyczajów wielkich hotelów i taki sposób obliczenia wydał mi się najsprawiedliwszym. Prócz tego nad umywalnią wisiało obwieszczenie, na którem napisano, że za pokoje nie wypowiedziane do godziny szóstej popołudniu liczy się nową dobę. Wszystko przerażało mnie i mąciło moją głowę przepełnioną literaturą piękną.

Nareszcie służąca zapukała i weszła.

Nigdy, ach nigdy w życiu nie zapomnę losowi tego figla! Dwie korony i siedemdziesiąt öarów... i to wszystko! Bagatelka, napiwek, który mógłbym był dać pokojówce na szpilki! Rzuciłem na stół kilka koron... jeszcze jedną...

— Proszę sobie zostawić resztę!

Trzeba się pokazać. Nie mówię już, że dziewczyna ta zasługiwała na moją szczególniejszą uwagę. Rzadka dziewczyna, uczuciowa, która nie wiedzieć skąd spadła do hotelu, gdzie oddana jest na pastwę kaprysów przejezdnych gości. Już nie rodzą się takie kobiety; rasa wymarła. Jakąż ona mi troskliwość objawiała, spostrzegłszy, że ma do czynienia z bogaczem!

— Chłopiec zaniesie pańskie rzeczy.

— Nie trzeba! Nie trzeba! — odpowiedziałem, chcąc ją uwolnić od kłopotu. — Taka drobnostka, jak walizka. Muszę się przyznać, że ona towarzyszy mi we wszystkich moich literackich objazdach, nie chcę innej, to moja słabostka.

Ale na nic były wszystkie moje wypraszania się, chłopiec już czekał na dworze. Spojrzał na moją walizę przenikliwie, ujrzawszy mnie wychodzącego. Ach jak taki człowiek umie patrzeć na walizę i palić się do poniesienia ci jej!

— Zaniosę ją — powiedział.

Jak gdyby reszta mojego nędznego kapitału nie przydała się mnie samemu? Czyż mogłem liczyć na jakikolwiek zarobek przed odczytem? Więc zaniosę sobie sam walizkę.

Ale chłopiec już ją miał w ręku; temu niezwykle troskliwemu o mnie człowiekowi nie wydawała się ona zgoła ciężarem, niósł ją swobodnie, jak gdyby nie spodziewał się żadnej zapłaty, a minę miał taką poczciwą, jak gdyby chciał dać poznać, że poszedłby w ogień za posiadaczem tej walizy.

— Stań! — zawołałem nagle i stanąłem. — Gdzież właściwie masz zamiar nieść tę walizę?

Rozśmiał się.

— Toć pan musi to wiedzieć najlepiej.

— Słusznie — odezwałem się. — Właśnie, że wiem i nie kieruję się twoim nosem.

Za żadną cenę nie chciałem jego towarzystwa dłużej; minęliśmy właśnie jakieś „mieszkania dla podróżnych" w gospodzie, gdzie miałem ochotę się zgłosić. Ale do tego nie był mi zgoła potrzebny służący z rywalizującego hotelu; chciałem się tam wsunąć niepostrzeżenie.

Wyciągnąłem z kieszeni półkoronówkę i dałem chłopcu.

On trzymał nadal rękę wyciągniętą.

— Niosłem i wczoraj pańską walizkę.

— Masz więc i za wczoraj — powiedziałem.

— A za to, że ją dziś niosę?

— To łotr! — ze skóry mnie chce obedrzeć!

— Niechże będzie i za dziś — rzekłem, dając mu znów pół korony — ale spodziewam się, że się już odczepisz?

Chłopiec odszedł, ale oglądał się kilkakrotnie, nie chciał mnie stracić z oczu.

Ja tymczasem, upatrzywszy sobie na ulicy ławeczkę, usiadłem. Było chłodno, ale gdy słońce wyszło, ociepliło się znacznie. Zdrzemnąłem się, a spałem widocznie dobrą chwilę, kiedy się bowiem zbudziłem, ożywił się ruch uliczny, a z kominów wychodził dym. Poszedłem więc do owej gospody i umówiłem się z gospodynią o mieszkanie. Miałem płacić pół korony za nocleg.

* * *

Po upływie dwóch dni udałem się znów na wieś, do adwokata Carlsena. Ponowił swoją radę o zaniechaniu odczytu, ale nie usłuchałem jej. Przecież świeżo wydałem na druk ogłoszeń w dzienniku Arentsena o czasie, miejscu i przedmiocie odczytu.

Gdy chciałem od razu płacić za lokal, co ogołociłoby mnie do szczętu z pieniędzy, odezwał się p. Carlsen, ten dziwny człowiek:

— Niema się co spieszyć, uiści pan po odczycie.

Nie zrozumiałem go i obraziłem się.

— Może pan sądzi, że nie mam ośmiu koron?

— Ależ, Boże uchowaj! — odrzekł. — Lecz po prostu powiedziawszy, nie ma przecież najmniejszej pewności, czy pan zużytkuje lokal, więc za cóż płacić?

— Już ogłosiłem odczyt — powiedziałem.

Skinął głową.

— Wiedziałem — odparł. Po chwili zapytał: — Czy pan będzie mówił, jeżeli się nie zbierze więcej nad pięćdziesięciu ludzi?

Dotknęło mnie to pytanie, ale nie pokazałem nic po sobie i odpowiedziałem, że pięćdziesięciu słuchaczów to rzeczywiście nieliczne audytorjum, ale będę mówił.

— Ale dla dziesięciu nie będzie się pan trudził?

Rozśmiałem się w głos.

— Wybaczy pan, ale wszystko ma swoje granice.

Więc nie mówiliśmy o tem więcej i nie zapłaciłem za lokal. Rozmowa zeszła na literaturę. Adwokat nie wydał mi się tak ograniczony, jak pierwszym razem; widocznie na czemś się rozumiał, ale sądy jego, naturalnie w porównaniu z mojemi, nie wydawały mi się wielkiej wartości.

Gdyśmy się żegnali, życzył mi pełnej sali na jutrzejszym odczycie.

Wróciłem do mojej gospody pełen najlepszych nadziei. Wszystko było gotowe. Już po południu wynająłem sobie za półtory korony człowieka, który miał obejść miasto i rozrzucić po niem moje pięćset biletów wizytowych, aby wiadomość o wypadku dotarła wszędzie.

Wpadłem w jakiś uroczysty nastrój. Myśl o ważnej chwili, przed którą stałem, czyniła mi nieznośnym pobyt w małej oberży, w towarzystwie biednej ludności. Wszyscy chcieli wiedzieć, com za jeden, dlaczego tu mieszkam. Gospodyni wytłumaczyła im, że jestem uczonym, który cały dzień siedzi nad książkami i upominała, aby mnie nie dręczono pytaniami. Byłem jej za to bardzo wdzięczny. Publiczność schodząca się tu to byli zgłodniali nędzarze, w bluzach, robotnicy, wyrobnicy uliczni, którzy wpadali na gorącą kiszkę, kawę lub inny jakiś tani specjał. Czasami bywali niegrzeczni i łajali oberżystkę, że wafle za stare lub jaja za małe. Dowiedziawszy się, że mam przemawiać w samym pawilonie parku, wypytywali się, ile kosztuje bilet; niektórzy z nich oświadczyli, że chętnie posłuchaliby mojej mowy, ale im za drogo pół korony — zaczęli tedy od targowania się ze mną o cenę biletu. Postanowiłem sobie nie obrażać się: godności mojej nie mogli przecie ubliżyć ci biedacy, bez wykształcenia. W izbie obok mnie mieszkał pan jakiś. Mówił on okropnym szwedzko-norwezkim językiem a gospodyni tytułowała go panem dyrektorem. Gdy ten człowiek zjawił się wśród nas w gospodzie, budził prawdziwą sensację, między innemi dla tego, że zawsze strzepywał chustką stołek, zanim na nim usiadł. Był to delikacik o kosztownych nawyknieniach, zamawiając chleb z masłem, żądał zawsze świeżego chleba z najlepszém masłem.

— Czy to pan ma mieć odczyt? — zagadnął mnie.

— Tak — odpowiedziała za mnie gospodyni.

— To niepopłatne przedsiębiorstwo — ciągnął dalej p. dyrektor, zwrócony do mnie. Pan wcale nie reklamujesz. Nie widział pan moich ogłoszeń?

I wyszło na jaw, czem był ten pan: antispirytystą, posiadaczem małp i dzikich zwierząt.

— Ja daję ogłoszenia tak wielkie! — pokazywał. — Nalepiam je wszędzie, gdzie tylko dojść można, a litery na nich ogromne. Nie widział pan? Porobiłem też na nich podobizny zwierząt.

— Mój odczyt jest z literatury pięknej — wtrąciłem — a zatem sztuka, pokarm duchowy.

Gwiżdżę na to! — odparł. I dalej ciągnął w swojej bezczelności: inna rzecz, gdybyś pan wstąpił do mnie do obowiązku; potrzebuję właśnie człowieka, którzyby umiał coś powiedzieć o zwierzętach, a wolałbym kogoś obcego, nieznanego w mieście. Jeżeli bowiem ukaże się na estradzie człowiek znany, woła publiczność: Patrzcie, toż to Peterson! cóż on może wiedzieć o tropikalnych zwierzętach?

Odwróciłem się od niego w milczeniu wzgardliwem. Na taką bezczelność nie znalazłem słów odpowiedzi.

— Pomyśl pan nad tem — powiedział raz jeszcze pan dyrektor. — Rozważ pan to sobie; płacę pięć koron za wieczór.

Podniosłem się z krzesła bez słowa odpowiedzi i opuściłem gospodę. Sądziłem, że to było najlepsze, co mogłem był uczynić. — Pan dyrektor, naturalnie, lęka się mojego współzawodnictwa, przypuszcza, że odciągnę wszystką publiczność, chce mnie usunąć z drogi — myślałem. Przenigdy! — przysiągłem sobie w duchu — nigdy nie zdoła mnie nikt skusić, abym porzucił pracę umysłową! Mój kierunek jest idealny!

Dzień upłynął, nadszedł wieczór. Oczyściłem starannie swoje suknie, włożyłem świeżą bieliznę i udałem się w kierunku pawilonu. Była siódma godzina. Bardzo starannie opracowałem odczyt, głowę przepełnioną miałem wszystkiemi temi pięknemi i górnemi słowami, które zamierzałem wypowiedzieć i w myśli cieszyłem się już zupełnem powodzeniem, nawet słyszałem w duchu stukanie telegrafu, który zapewne w ruch wprawię!

Spadł deszcz — pogoda więc nie dopisała, ale publiczność wykształcona literacko nie da się przecie odstraszyć drobnym deszczem. Spotykałem na ulicy ludzi, para za parą szli pod wspólnym parasolem. Uderzyło mnie jednak, że nie szli w tym samym kierunku, co ja, to jest do pawilonu. Dokądże oni mogą iść? Ach, to zapewne tłum idący do Związku robotniczego patrzeć na małpy!

Biletera zastałem na stanowisku.

— Czy jest kto? — zapytałem.

— Jeszcze nie — odparł — ale przecież brakuje całe pół godziny.

Wszedłem do ogromnej, pustej sali, w której kroki moje rozbrzmiewały niby tętent koni. Ach, mój Boże, gdyby tak wypełniła się szczelnie głowa przy głowie paniami i panami, czekającemi na mnie! A tu ani żywej duszy! (C. d. n.)

Tłum.

J. Klemensiewiczowa.

Nerwowość u dzieci.

(Dzieło Prof. Dra A. Combe'go w tłumaczeniu polskiem przez Dra H. Nusbauma.)

(Dokończenie.)

Prostytucja, idąca z alkoholizmem zawsze w parze, stanowi tło cywilizacji obecnej, bronić się od tych plag strasznych, obmyślać środki zaradcze jest obowiązkiem pierwszym i najświętszym.

Na starsze pokolenie działać trudniej, bo nałogi głęboko zakorzenione pokonać jest rzeczą niełatwą, ale w rękach matek rodzin, wychowawczyń młodego pokolenia, spoczywa przyszłość narodu, one o tem wiedzieć powinne, a poznawszy całą doniosłość wychowania pierwotnego, domowego, mają obowiązek zastosować się ściśle do przykazań wiedzy, które sformułować możemy w sposób następujący:

1. Dzieci nie powinne nigdy używać napojów wyskokowych.

2. Matki rodzin, wychowawczynie, wszystkie powinne być abstynentkami.

3. Mamki i służba przy dzieciach nie powinne używać trunków alkoholowych.

4. Dzieciom trzeba od małego oświadczać z całą stanowczością, że wszystkie napoje wyskokowe są trucizną.

5. Koniecznością jest wymagać, ażeby nauczyciele nie używali trunków wyskokowych.

6. Ojcowie rodzin, jeżeli już nie mogą pokonać nałogów swoich, powinni przynajmniej w domu u siebie powstrzymywać się od picia i nie dawać tem złego przykładu dzieciom, albowiem pijąc u siebie, przeciwdziałają oni, często nieświadomie wszelkim wychowawczym staraniom matek.

Rozważywszy te konieczne warunki, po wytworzeniu których, może być dopiero przeprowadzone wychowanie racjonalne młodego pokolenia, zrozumiemy łatwo, że rodzice i wychowawcy obojej płci muszą być obowiązkowo abstynentami, bo przecie trudno przypuścić, ażeby dzieci można było ustrzedz od alkoholu tam, gdzie całe otoczenie używa wciąż piwa, wódki i wina. Pod tym względem każdy musi nam przyznać słuszność, że tylko rodzice abstynenci mogą wychować dzieci wstrzemięźliwie. Otóż jeżeli ma być skutecznie przeprowadzoną zmiana w dotychczasowych naszych przyzwyczajeniach, to nie inaczej, jak przez całkowitą abstynencję głównie matek rodzin i nauczycielek. One łatwiej, niż kto inny, pojąć potrafią, że to małe i nic dla nich nieznaczące poświęcenie zwyczajów

towarzyskich, będzie miało olbrzymi skutek dla uzdrowienia i umoralnienia społeczeństwa. Dzieci wychowane przez takie matki i nauczycielki będą miały wstręt do napojów wyskokowych i będą patrzały pogardliwem okiem na „helotów“ alkoholizmu, którym brak silnej woli, ażeby pokonać brzydki nałóg, do którego przywykli od dzieciństwa.

Taką jest droga do naprawy zła, wyrządzonego nieświadomością skutków alkoholizmu. Dziś gdyśmy nakoniec przyszli do poznania właściwości trucizny, i następstw, wywoływanych przez nią, nie mamy czasu do zwlekania z czynnością naszą, każda chwila stracona jest przestępstwem wobec ojczyzny, a każda obojętność i lekceważenie prawd wiedzy jest zbrodnią względem ludzkości.

Po alkoholizmie zajmuje poważne miejsce w zatruwaniu organizmu ludzkiego: nikotynizm, czyli palenie tytoniu i odurzanie się jego dymem.

Według jednych palenie tytoniu dla dorosłych jest nieszkodliwe, wedle drugich znowu jest wielce szkodliwe, lecz dla obu obozów walczących kwestja palenia tytoniu, odnośnie do dzieci i młodzieży, jest jasną, wszyscy się na to jednogłośnie godzą „że dzieci i młodzież nie powinni się odurzać dymem tytoniowym“.

Ponieważ prawie każdy alkoholik jest zarazem i palaczem, a wyjątkowo tylko palacz nie jest alkoholikiem, przeto trudno niezmiernie określić, jaką rolę w statystyce nerwowości przypisać należy każdej z osobna truciźnie wymienionej, rzeczą jednak jest pewną, że obie trucizny są silnie działające na organizmy i wielce szkodliwe. Szczególniej zabójcze jest palenie tytoniu w wieku dziecięcym i młodzieńczym. Takie wczesne palenie, t. j. wtedy gdy mózg jest jeszcze w okresie rozwoju, powoduje poważne zaburzenia w czynnościach jego, osłabia pamięć, zmniejsza zdolność skupiania uwagi, obniża pojętność. Mysz zatruwana dymem tytoniowym traci pamięć przeszłości niedawnej, a częstokroć i instynkty odziedziczone. Wąż zatruwany sokiem tytoniowym staje się fizycznie niedołężnym. Ptaki trzymane w klatkach po lokalach, gdzie ciągle kopcą tytoniem, również jak i rośliny pielęgnowane w takich lokalach giną bardzo prędko. Bertillon ogłosił swoje spostrzeżenie statystyczne, które w całości potwierdził Combe, że palacze w szkołach są najgorszymi uczniami. Ci nawet, którzy byli wpierw uzdolnieni, pracowici i czynili szybkie postępy, stali się wprędce po rozpoczęciu palenia niedołężnymi, niezdolnymi, próżniakami i niekarnymi. Jedną jeszcze i bardzo poważną cechą młodych ludzi palących jest to, że są alkoholikami i oddają się rozpuście płciowej. Te trzy zdrożności wieku młodzieńczego stanowią główny powód degeneracji, którą ogólnem mianem nerwowości ochrzczono, a która, jak już wyżej powiedziano grozi zwyrodnieniem ludzkości. Te ludy, co poznawszy zło, potrafią siłą woli otrząsnąć się z nałogów, mają przyszłość przed sobą, inne znowu, słabej woli, zginąć muszą najniezawodniej.

Palenie i żucie tytoniu u ludów, nie mających napojów alkoholowych, daje możność zbadania działalności nikotyny, bo tu eliminowaną jest czynność napojów wyskokowych, która w innych wypadkach zaciemnia obraz skutków tamtej trucizny. Otóż u takich ludów, jest już rzeczą sprawdzoną, że wymieranie całych plemion, jak np. w północnej Azji, przypisać należy głównie namiętności zatruwania siebie nikotyną; tam dzieci, kobiety i mężczyźni, wszyscy bez wyjątku, palą i żują tytoń; trucizna tytoniowa stała się dla nich tak konieczną, jak dla naszych włościan i dla naszych mieszkańców miast. Ludy Ameryki, według zdania niektórych badaczy, miały tak nienormalny rozwój społeczny w skutek nadmiernego używania, od lat najmłodszych poczynając, tytoniu. Dowieść lub obalić wnioski wyżej wymienione, odnośnie do tytoniu, jest rzeczą trudną, jedno tylko da się stanowczo wykazać, że nikotyna jest gwałtowną trucizną, niszczącą każdy organizm, a zwłaszcza jest zabójczą dla młodych organizmów.

Każdy nałóg staje się przyjemnością, nawet nałóg najbardziej szkodliwy dla organizmu, stąd przyjemność nałogowa nie daje miary dla ocenienia wartości hygjenicznej danego pokarmu lub danej używki. Krowy na Kamczatce giną na wiosnę przeważnie z powodu zjadania kłąbów Cykuty, wykopują je racicami i zjadają z taką pożądliwością, że trudno im z paszczy ją odebrać, a wszakże ta trucizna przyprawia je o śmierć niechybną. To samo dzieje się z człowiekiem. Malec, uczeń średnich zakładów naukowych tutejszych, tak przywykł do palenia, że żadne kary, żadne perswazje już skutkować nie mogą; prędzej zginąć woli, jak krowy kamczackie, aniżeli się wyrzec trucizny. Od nałogu palenia tytoniu odzwyczaić się trudno, ale jak łatwo nie nabywać tego nałogu. Każde dziecko ma wstręt ogromny do dymu tytoniowego, palenie początkowe wywołuje wymioty, ból głowy, bezsenność, to są obrony naturalne organizmu ludzkiego przed trucizną, ale gdy palenie stanie się nałogiem, sprawia przyjemność, której się pozbyć boją, lub nie mogą, nawet silną wolą obdarzone osobistości.

Widzimy tedy jasno, że z nałogami trudna walka, nawet rozumowi; więc jedna rada: niedopuszczać dzieci do tworzenia się w nich nałogu pijań-

stwa i nałogu palenia tytoniu. Uskutecznić to mogą nasze patrjotyczne niewiasty, od ich rozumnej woli, od ich uczuć wzniosłych oczekiwać mamy prawo i mamy nadzieję lepszej przyszłości dla naszej ojczyzny, a tem samem i dla ludzkości. Jeżeli dzisiaj dorosły mężczyzna, dla dochodów z propinacji uzyskiwanych, myśleć nawet się boi o trzeźwości, która mogłaby go pozbawić tych dochodów, jeżeli następnie prawie wszyscy obywatele rodzaju męskiego tak przywykli do wódki, piwa i wina, że życie bez tych specjałów straciłoby dla nich wszelki urok i znaczenie, to oddziaływanie rozumu, perswazji na nic się nie zdały, stąd też główna nadzieja na niewiasty i przez nie na młode pokolenie. Przesadą zdawać się może dla ludzi nałogowych to zdanie, że zbawienie ludzkości, uzdrowienie społeczeństw zawisły od trzeźwości, a jednak jest to już fakt doświadczeniem stwierdzony, że bez trzeźwości nie ma życia moralnego, a bez tego warunku zbawienie i szczęście są niemożebnemi rzeczami. Winka węgierskie, smaczne nalewki, szampany, piwa okocimskie i pilzneńskie, miody sycone i panieńskie, takie niewinne napoje, a jednak one topią moralność, one są przeszkodą do życia rozumnego, altruistycznego. Niema innej rady jak zarzucić alkoholizm. Więc albo być człowiekiem, istotą rozumną, albo zstępować do poziomu zwierzęcości, oto są do wyboru alternatywy alkoholizmu i trzeźwości.

Dr. B. Dybowski.

Na ochronę zabytków.

W jednym z uprzednich numerów „Tygodnia“ podaliśmy wykaz zabytków starożytnych, na których ochronę sejm tegoroczny uchwalił odpowiednie subwencje. Pozostają jeszcze do wymienienia te budowle, które w najbliższej przyszłości przy pomocy funduszów krajowych zostaną zrestaurowane i te wreszcie, nad którym sejm przeszedł do porządku dziennego.

Do rzędu pierwszych, należy przedewszystkiem *kościół św. Katarzyny* w Krakowie, jeden z najpiękniejszych zabytków gotycyzmu na całym obszarze ziem polskich. Wiedeńska komisja centralna przyznała już na cel restauracji tego kościoła kwotę 35.000 k., taką też samą kwotę uchwalił sejm i upoważnił Wydział krajowy, aby tę subwencję rozłożył na odpowiednią liczbę rat rocznych, począwszy od roku 1906.

Kościół pojezuicki w Przemyślu, wybudowany około roku 1650, zostawał w ręku Jezuitów do r. 1773, a po ich wydaleniu służył za magazyn wojskowy. Ostatecznie uznany za ruderę, skazany został na zburzenie kosztem 32.000 k., które na ten cel rząd wyznaczył. Zabiegom konserwatorów i biskupa Pelczara udało się budynek uratować. Kościół ten bowiem zdaniem znawców zasługuje dla swych wybitnych zalet architektonicznych, jako zabytek sztuki XVII. stulecia na odrestaurowanie. Zbudowany w stylu późnego renesansu, o trzech nawach, z których poboczne kończą się dwiema kształtnemi kaplicami, ze wspaniałem sklepieniem, opartem na smukłych filarach, z bogato rozwiniętą facjatą ozdobioną po bokach dwiema wieżami, jest kościół ten nietylko ozdobą Przemyśla, ale należy do piękniejszych zabytków całego kraju. Według kosztorysu potrzeba na restaurację 80.000 k. Biskup Pelczar ofiarował na ten cel 20.000 k., od rządu spodziewają się subwencji 40.000 k., wliczając w to 32.000 k. przeznaczone pierwotnie na koszta zburzenia kościoła, o udzielenie reszty w kwocie 20.000 k. wniósł biskup petycję do sejmu. Wydział kraj. zaproponował udzielenie tej subwencji w pięciu ratach rocznie, począwszy od r. 1906.

Ratusz w Husiatynie. Na restaurację tego zabytku przeznaczył sejm w r. 1901 subwencję 3.350 k. Subwencję tę wydano gronu konserwatorów we Lwowie, które odrazu nie mogło dla różnych trudności przystąpić do restauracji. W roku ubiegłym jednakowoż postanowiło grono przystąpić przynajmniej do robót przedwstępnych, mających na celu ochronę zabytku przed zupełną ruiną, nadto uchwalono przy pomocy wyasygnowanej już subwencji przystąpić do stylowego odnowienia przynajmniej jednego z czterech budynków bocznych. Sprawa ta jest obecnie w toku.

Nadto przekazał sejm Wydziałowi kraj. do zbadania i sprawozdania petycję konwentu Franciszkanów w Krakowie o subwencję na restaurację krużganków, zarządu gr. k. cerkwi w Brodach o zapomogę na restaurację tej cerkwi, komitetu cerkiewnego w Jaworowie o subwencję na restaurację starej filjalnej cerkiewki i komitetu parafjalnego kościoła św. Florjana w Krakowie o zapomogę na restaurację kościoła.

Nad petycjami o zapomogę na restaurację ikonostasu w cerkwi gr. k. w Nawarji, kościoła w Mościskach, malowideł ściennych w kościele w Siemianówce i dalszej restauracji cerkwi w Rohatynie przeszedł sejm do porządku dziennego.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Bronisław Dębiński: Stanisław August i książę Józef Poniatowski w świetle własnej korespondencji.* — Lwów 1904. Archiwum naukowe wydawnictwa Twa dla popierania nauki polskiej. Dział I., t. II., zeszyt I.

Wydawca materjałów do rozbiorów Polski, dał nam teraz zbiór listów, po największej części po francusku pisanych, ostatniego króla i jego synowca, a obejmujących przeciąg sześciu bardzo ważnych lat od lipca 1791 do stycznia 1797. Listy te, wzięte tylko z archiwum Paszkowskich, poprzedzone są wybornie stylistycznie opracowanym przez wydawcę wstępem, podkreślającym najbardziej charakterystyczne strony obu tych postaci.

Przeważa liczba listów królewskich, bo na 165 — jest ich około 120 — a reszta, są to listy księcia Józefa, pisane w czasie pobytu jego za granicą.

Wobec tego, że treść ich zawiera częstokroć obustronne, najtajniejsze wynurzenia w sprawach publicznych, i wobec tego, że wydane one zostały zupełnie na sposób europejski, bo wydawca kładł nacisk nietylko na poprawność i zgodność tekstu i zaopatrzył nietylko indeksem nazwisk, ale i spisem listów, z podaniem ich ogólnej treści, wydawnictwo to jest pożądanym nabytkiem, ubogiej jeszcze w tym kierunku historjografji polskiej. *B. P.*

Księga bytu — Wacław Żmudzki. — Lwów. — Księgarnia Narodowa. MCMV. Tytuł, co namniej, pretensjonalny... Nie jesteśmy dziećmi, abyśmy wierzyli w „natchnione prawdy poetów, w łupinie alegorji lub symbolu schowane". Wiemy, że każde twierdzenie musi być uzasadnione, i to dobrze uzasadnione. Są ludzie, którzy oszołomieni gigantycznymi obrazami, ogłuszeni potokiem pięknych słów, oślepieni błyskawicami, których co najmniej tysiąc wybucha z każdej stronicy, powiadają: „Jakie to głębokie!", uważając wyraz „głęboki" za synonim „pięknego". Ale są i tacy, którym twierdzenia nielogiczne, pretensję do „wiecznych prawd" mające, psują całe estetyczne używanie. Zdanie na str. 68: „A że jesteś i byłaś, więc będziesz" i inne, cały szereg pseudo-rozumowań, na które poeta wielki nacisk kładzie, rozumowań pod względem logicznym naiwnych — kazał mi zapomnieć o pięknym języku poety, o nastrojach dobrze odmalowanych, o nagłych i oryginalnych zestawieniach, i szczęśliwych czasem neologizmach.

Silny wpływ Przybyszewskiego widoczny na każdej stronicy. Język, styl, treść, ujęcie, koncepcja, rytmiczność i okresowość językowa — wszystko to znane z Przybyszewskiego. A Przybyszewskiego tylu naśladowało! Poezje prozą zalewają od kilku lat wszystkie rynki literackie w Polsce. Naczytaliśmy się tego dosyć, czujemy znużenie i przesyt; zresztą najwspanialsze ustępy są w dziełach samegoż Przybyszewskiego. Autor, władając tak wykwintnie i biegle językiem, posiadający tyle orygiginalnej fantazji, powinien, zdaniem naszem, zabrać się do rzeczy samodzielnie pomyślanej i przeprowadzić ją samodzielnie.

Teodor Mianowski.

Jan Augustynowicz: W pryzmacie. Warszawa 1905, nakład Księgarni G. Centnerszwera i S-ki.

Jesto zbiór drobnych, znakomicie napisanych nowel. Życie ze swoim hałasem i gwarem, ten szary, przyziemny kłąb, ta pustka i jednostajność, widziana okiem poety, rozkłada się, jak światło w pryzmacie, na poszczególne promienie, przełomowe chwile, decydujące momenty. Całe życie składa się z takich chwil momentalnych o wielkiej intenzywności. Autor zbiera takie drobne pyłki, analizuje je, oświetla, tłumaczy. A i na to należy zwrócić uwagę, że p. Augustynowicz pisze bardzo czystym i wybornie sytuację malującym językiem. Nie naśladuje też nikogo; język jego jest swoisty, śmigły i giętki jak stal, obrazowy; doskonały wyraz kultury artystycznej. Z dziesięciu nowel, zebranych w niniejszym zbiorku, na specjalną uwagę zasługuje nowela „W przelocie", kreśląca typ estetycznego egoisty, „W lesie", „Odwiedziny". Najpiękniejszą i najlepiej zrobioną drobnostką jest „Historja o grajku" ze znakomitym typem subretki, rozlubieżnionych atmosferą ogródkową kupców i grajka.

Wszystkie te utwory są pisane lekko, zgrabnie, zdaje się jednym tchem, każdy wyczerpuje się aż do dna. A tak piszą tylko ludzie, panujący nad tematem i formą, których twórczość nie jest szychem, ale twórczością prawdziwą. *T. M.*

NOTATKI. *Wystawa starożytnej porcelany.* W pałacu Czapskich w Krakowie otwarto tymi dniami wystawę starożytnej porcelany, przeważnie z prywatnych zbiorów. Urządzeniem tej wystawy zajęło się „Muzeum narodowe", które w ten sposób ma zamiar urządzać szereg wystaw specjalnych historycznych i retrospektywnych. Porcelana wystawiona jest naturalnie po największej części obcego pochodzenia, a jedna tylko sala, zawiera porcelanę wyrobioną w fabrykach, dawniej w Polsce istniejących, jak w Korcu, Baranówce, Ćmielowie, Lubartowie, Białotynie, Horodnicy, Glińsku, Belwederze warszawskim i t. d. Zbiór ten, poszukiwanej obecnie bardzo, polskiej porcelany przedstawia się okazale, a sama sala ozdobiona makatami wschodnimi etc., daje wyobrażenie o guście i upodobaniach dawnej, zamożniejszej szlachty polskiej.

WIADOMOŚCI BIBJOGRAFICZNE.

— Atlas historyczny Rzeczyposp. Polskiej wydany z polecenia Akademji umiejętności. Epoka przełomu wieku XVI-go na XVII-ty. Dział II-gi „Ziemie ruskie" Rzeczypospolitej, opracował i wydał Aleksander Jabłonowski, fol. duże, k. n. 4 tekstu i 16 map (skala 1 : 300.000) kor. 25.

— Esmein A. Zasady prawa konstytucyjnego. Przeł. z 3 wyd. K. Lutostański i W. Kopczyński pod redakcją i z przedmową S. Posnera Kor. 6.50.

— Saenger Samuel. John Stuart Mill, przeł. z niem. Antoni Krasnowolski. Klasycy filozofji. Kor. 3·10.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5